

# Janusz Połom

---

## Lata minęły [...]

---

Sztuka i Dokumentacja nr 7, 84-85

---

2012

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Lata minęły od tamtych romantyczno-mrocznych czasów. Czasów stanu wojennego. Pamiętam ten okres jako swego rodzaju „pakiety obrazów” naszego codziennego życia, jego pseudo-wojennego kolorytu, na który składało się stanie w kolejkach by wykupić żywność na kartki, wielogodzinne wyczekiwanie na benzynę na stacjach CPN, jej przelewanie w kanistry, świnie kupowaną na wsi, ćwiartowaną i nielegalnie przewożoną do mieszkania M-3 na Widzewie, by w ciasnej kuchni przerabiać ją na pasztet, kaszankę czy szynkę beczelnie wędzoną w betonowym kręgu pomiędzy blokami pod okiem chodzących patroli, a której uwęczenie umialiśmy sobie kartkową wódeczką. Pamiętam sąsiada, który podawał mi przez balkon szklankę pędzonego właśnie w wannie bimbru tak, by nie widziała tego moja żona.

Każdy z nas pamięta podobne i różne z tamtego okresu obrazy. Pamiętam również, że w pewnym momencie już nie było po co stać w kolejkach, bo w sklepach były tylko ocet i musztarda, a gdy pojawiły się w nim limonki z Kuby, kobiety w kolejce pomstowały na komunistów, że „rzucili” niedojrzałe cytryny.

Mieszkałem w M-3, wraz z Mariellą Nitostawską na Widzewie-Wschodzie. Mieszkanie nasze było jednym z wierzchołków trójkąta. Drugim była pracownia Andrzeja Różyckiego, w której mieszkał, a trzecim – pracownia Józka Robakowskiego. Andrzej wpadał do nas dość często, a Józek przy okazji, gdy coś robił w swojej pracowni. Od niego dowiadywaliśmy się co dzieje się „w mieście”. Trudno mi obecnie określić czas, co kiedy się działo. Chronologia zdarzeń mogła być zupełnie inna niż ta, którą opisuję.

Stan wojenny zastał mnie w momencie pełnienia funkcji demokratycznie wybranego dziekana wydziału operatorskiego w PWSFTViT, co było konsekwencją działań Komitetu Ruchu Odnowy Uczelni i ustępstw wymuszonych przez ruch na władzach szkoły. W okresie „Odnowy Uczelni” na terenie szkoły działały dwie niezależne od siebie organizacje: jedna na Wydziale Reżyserii, której przewodniczyli Piotr Bikont i Adam Sobolewski, i nasza na Wydziale Operatorskim.

Do „naszego” komitetu należeli młodszy pracownicy nauki i studenci: Józek Robakowski, Ryszard Waśko, Paweł Kwiek, Leszek Czołnowski, Jacek Józwiak, Mariella Nitostawska, Tomek Snopkiewicz i Piotrek Zarębski. Sympatyzowali z nami: Andrzej Różycki i Antoni Mikołajczyk – osoby spoza uczelni. Być może kogoś pominąłem.

13 grudnia 1981 r. zastał nas w pełni aktywności organizacyjnej. Nie minął jeszcze entuzjazm po niedawno zamkniętej wystawie Konstrukcja w Procesie, której organizatorem był Rysiek Waśko. Ogłoszenie stanu wojennego spowodowało „przecięcie” naszej aktywności w momencie, gdy wszyscy byliśmy „rozpędzeni” w działaniach.

Grudzień dobrze wrył mi się w pamięć, bo jak wielu innych Polaków na święta Bożego Narodzenia miałem wyjechać z kraju. Miałem paszport i bilet do Montrealu na 17 grudnia. 14 lub 15 poszliśmy z Józkiem na demonstrację przed siedzibę byłej, bo zdelegalizowanej „Solidarności” na Piotrkowskiej. Tłum wykrzykiwał antypaństwowe hasła, pełno było opancerzonych transporterów, ZOMO zatrzymywało i legitymowało każdego przechodnia. Nas również zatrzymali. Józek się wylegitymował legitymacją pracownika PWSFTViT za co, jako że był nauczycielem akademickim i artystą, oberwał pałą po plecach. Mnie jakoś uszło, bo wylegitymowałem się nieważnym, o czym ZOMO nie wiedziało, paszportem. Schroniliśmy się w katedrze, ponieważ milicyjna sikawka jeździła po ulicy i strumieniem wody oblewała demonstrantów. ZOMO wyłapywało tych, którym nie udało się uciec.

Paraliż społeczeństwa, jego pacyfikacja, na czym władzy tak bardzo zależało, nie trwały jednak zbyt długo. Nasza grupa – niejako w automatyczny sposób, czując potrzebę działania i bycia razem, również wznowiła działalność. Przez dom na Widzewie przewijali się kolporterzy Nowej, sąsiad przynosił podziemne wydania gazetek „Solidarności” z fabryki, ktoś rozwoził plakaty, Józek Robakowski „kręcił” z telewizora i ze swojego okna, Andrzej Różycki szykował swoją *Fotografię monopolową*.

Mnie jako dziekanowi (nie udało się mnie „zdymisjonować”, pomimo starań ówczesnego rektora), przypadło bronić „rozrabiających” na ulicach studentów przed oskarżeniami SB. Wraz z Mariellą Nitostawską kręciliśmy film o Józku Choices – *an artist from Eastern Europe Speaks Out*, zmontowany później w Montréalu. Staraliśmy się jak najczęściej spotykać. Oczywiście w domach. Publiczna aktywność i publiczne miejsca takie jak galerie były praktycznie martwe, poza kościołem przy ul. Sienkiewicza.

W tym czasie wielu artystów wyjeżdżało z Polski, inni udawali się na słynne „wewnętrzne emigracje”, a jeszcze inni robili swoje, jak gdyby nigdy nic. Nie pamiętam, w którym roku Rysiek Waśko zebrał materiały do samizdatu *Fabryka*. W tamtym też czasie pojawiło się wśród nas dwóch ludzi. Nazwaliśmy ich „Dywaniarzami”. Jeden z nich chyba nazywał się Paczkowski. Głównie krążyli wokół Józka Robakowskiego. Pierwszy raz spotkałem ich u niego, gdy namawiali go do włączenia się w działalność Galerii Czyszczenie Dywanów, której byli właścicielami i która znajdowała się na Piotrkowskiej, w pobliżu katedry. Ponoć niezależnej, wręcz podziemnej. „Typy” owe wydawały nam się mocno podejrzone, proponowali jednak wystawianie u nich swoich prac, spotkania artystów, dyskusje. Chyba również proponowali jakiś handel dziełami.

„Dywaniarze” potrafili zachęcić artystów do tego, by się u nich spotykać i wystawiać. Co ciekawe, byli całkowicie spoza „środowiska” i nikt ich przedtem nie znał. Miejsce, które proponowali, nazywane „galerią”, było jednym pomieszczeniem, pokojem, w którym stało metalowe łóżko. Na spotkaniach wszyscy siedzieli pod ścianami, a komu się udało siedział na łóżku. Ciemno było. Pod sufitem paliła się jedna goła żarówka. Jednak w pewnym okresie było to jedno z ciekawszych miejsc w Łodzi i zdaje się, że odbyło się tam wiele spotkań.

W brudnej, błotnistej mazi stanu wojennego, o bliżej nieokreślonej porze dnia (który był zawsze jednakowo szary) wędrowaliśmy od jednego domu przyjaciół do drugiego, od pracowni do pracowni. Spotykaliśmy się, zrzucałiśmy na wódkę, by ją kupić „na melinie”, rozmawialiśmy – jak wszyscy – o tym, co nam „zgotowano”, spekulowaliśmy politycznie, zastanawiali – co dalej? Po pewnym czasie do tradycji przeszło pielgrzymowanie po domach i pracowniach by zobaczyć, co tworzą przyjaciele lub co się z nimi dzieje i co u nich słyszeć.

O ile dobrze pamiętam, powstała tradycja „pielgrzymki ze sztuką”, czy coś w tym rodzaju. Artyści urządzali u siebie w domach wernisaże swoich prac, spotkania dyskusyjne. Odwiedzała nas „Warszawa”: przyjeżdżał Andrzej Partum, Jan Dobkowski, Zbyszek Warpechowski. W prywatnych mieszkaniach, zamienionych w miejsca swobodnych wypowiedzi, dyskusji, w domowe galerie gdzie prezentowane były własne i kolegów działania, utworzył się ruch, wobec którego władza była całkowicie bezsilna.

Co prawda byliśmy inwigilowani, śledzeni, zdarzało się nam siedzieć w komisariacie za przewóz nielegalnych materiałów lub być wzywani do siedziby SB, lecz cóż nam można było zrobić, skoro wszystkie spotkania miały charakter „prywatny”, nie wynikały z nich żadne sabotażowe i „wywrotowe” akcje? Cały ruch powstał w spontaniczny sposób, z wewnętrznej potrzeby bycia razem i w opozycji do politycznej sytuacji w kraju, a przede wszystkim, dla wielu z nas – z potrzeby tworzenia, bez względu na zaistniałą sytuację. By nie ulec depresji, czy też zniechęceniu, na czym zapewne władzy najbardziej zależało.

Tak działając czuliśmy, że wypełniamy próżnię, zasypujemy lej powstały w wyniku wybuchu stanu wojennego. 13 grudnia życie wielu z nas zmienił na zawsze. Chyba nikt z nas wtedy nie myślał, że robimy coś wyjątkowego, spektakularnego, co potem przejdzie do historii. Najważniejsza była potrzeba ciągłości działania, zachowania wolności i godności osobistej, jak i zachowania godności i wolności w tworzonych pracach.